

„Cesarzowa Anna”

Tajemnica nowej żony Stalina

W estońskim dzienniku: „Rahwaleht” ukazał się sensacyjny artykuł o ostatniej faworycie Stalina, którą otoczenie dyktatora nazywa „cesarzową Anną”. Anna wywarła podobno na Stalina bardzo silny wpływ i spowodowała znaczne rozdźwięki między władzą Kremla a jego otoczeniem.

Anna ma z górą 40 lat, ale zachowała jeszcze dziewczęcą urodę. Pochodzi z rosyjskiej arystokracji i jest księżniczką. Po przewrocie październikowym, jako młoda dziewczyna znalazła się w kumpletniej nędzy. Przeniosła się wtedy z Petersburga do Moskwy, gdzie zarabiała na życie szyciem,

aż do chwili, gdy zwróciła na siebie uwagę czerwonego władcy.

Podobno znajomość została zawarta w sposób zgoła niezwykły. Anna stała przy oknie swego pokoju, gdy przez ulicę przeciągał kondukt pogrzebowy wiozący prochy żony Stalina Aliużewej. Za trumną szedł Stalin. Pod wpływem nastroju Anna rzuciła na trumnę bukiet kwiatów, mimo że z całej duszy nienawidziła bolszewików i Stalina. Stalin podniósł głowę i spojrzał w okno, skąd spadały kwiaty. Dwie pary oczu spotkały się i los kobiety był przesądzony.

Po dwóch dniach, do ubogiego

pokoiku Anny, wpadli czełkisi, rozkazując jej by szła za nimi. Anna błąda i przerażona udała się, gdzie jej kazano. Zawieziono ją autem do Kremlu. Przez długi mroczny korytarz wprowadzono ją do skromnie umeblowanego gabinetu. W pokoju stało tylko biurko i parę krzeseł. Na ścianie wisiał portret Piotra Wielkiego.

Do gabinetu wszedł jakiś człowiek. Anna omal nie zemdlą, gdy we wchodzącym poznała Stalina. Najwidoczniej strach jej sprawił mu przykrość. Czerwony dyktator zbliżył się do niej, biorąc za rękę i cicho powiedział:

— Niech się pani nie boi. Chciałem jej tylko podziękować za te kwiaty, które pani rzuciła na trumnę mej żony. Dlaczego pani to zrobiła?

— Po prostu żałowałam pana. Był pan taki zgnębiony... Starałam się w ten sposób wyrazić panu, swoje współczucie.

— Dziękuję. Pani współczucie było dla mnie dużą pociechą. Nagle zmienił ton.

— Pani jest córką księcia O. Gdyby nie rewolucja, odziedziczyła by pani ogromny majątek. Była pani zaręczona z kapitanem C., który zginął w 1914 r. w Prusach Wschodnich. Obecnie utrzymuje się pani z szycia. Czy tak?

— Istotnie, ale nie wiem skąd pan to wie.

— Wiedzieć wszystko — to jeden z moich obowiązków — odpowiedział Stalin i wskazał Annie krzesło. Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w jej twarz i wreszcie spytał:

— Czy zgodziłaby się pani pracować u nas? — Umożliwiłoby to pani bez porównania lepszą egzystencję niż dotychczas.

— Niewątpliwie — odpowiedziała Anna. — Ale nie jestem w stanie współpracować z panem i z jego kolegami. Jest to kwestia moich poglądów.

— Dobrze — powiedział Stalin z lekkim zdenerwowaniem. — W takim razie pożegnaj panią. Chciałem jedynie podziękować jej za kwiaty.

Odprowadzając Annę do drzwi gabinetu spytał:

— Czy zgodziła by się pani odwiedzić mnie kiedykolwiek, gdybym ją poprosił?

— Naturalnie — odpowiedziała Anna.

— Prawdopodobnie nastąpi to prędko. Pragnąłbym tylko, aby nikt o pani wizytach w Kremlu nie wiedział.

Anna kiwnęła głową i skierowała się ku drzwiom, które otworzył przed nią Stalin. Czełkisi, stojący długim szpalerem na korytarzu, w milczeniu zaprezentowali broń.

Anna nie podzieliła się z nikim

wiadomością o swej niezwyklej przygodzie. Długo nie mogła opowiadać sprzecznych uczuć, które miały ją po tej dziwniej wizycie.

Po paru dniach Stalin zaprosił ją ponownie.

Teraz już atmosfera była mniej napięta. Słuchając Stalina, Anna chwilami zapominała, że jest to człowiek, który zniszczył i zdeptał wszystko co było dla niej drogą.

Tak narodziła się najdziwniejsza miłość krwawego tyra i ary stokratki rosyjskiej. Anna jest bardzo niepopularna, w środowisku tych nieszczęśliwych starych bolszewików, których Stalin, jeszcze dotychczas nie uśmiercił. Szczególną nienawiścią do Anny, pała Kaganowicz i jego grupa żydów. Niewątpliwie Anna, kobieta bardzo prawa i szlachetna nie wpływała na Stalina w chwili gdy ferował wyrok na swych dawnych towarzyszy, ale stworzyła atmosferę wybitnie dla nich niekorzystną.

Czy Anna stanie się ofiarą intrygi, czy zwycięży swych licznych wrogów, pokaże najbliższa przyszłość. W każdym razie rola jej w dziejach Rosji będzie bardzo znaczna.

OSTRYGI

dla świeżo nadeszły smakoszy

BLINY z łososem z Sosiskami oryginalne W WINIARNI KASKASKIEJ Jutra 5 Rewia Artystyczna — DANCING Od godz. 7 wiecz. KOLACJE KLUBOWE

Z teatru o teatrze

Brrr... naprawdę zimno

TEATR KAMERALNY: „Głębia na Zimnej”, sztuka w 3-ach aktach Zygmunta Ryłskiego.

W młodej dziewczynie budzą się jakieś niezdrowe, zbrodnicze instynkty. Z miłości do zaniedbywanej i zdradzanej przez ojca matki, z zazdrości o ojca budzi się żądza zemsty, chęć pozbawienia życia tej trzęsłej, nauczycielki muzyki, która uwodzi ojca rodziny.

Bunt, żądza zemsty nie budzi się w duszy tej najbardziej zainteresowanej, a więc żony, jeno w córce. Ta antypatyczna pannica, która bieś owładnął, usiłuje wyzyskać dla wykonania swych zbrodniczych zamiarów, okłiwego i mdłego do obrzydliwości, idiotycznie w niej zakochanego po uszy fizyka korepetytora — swego młodszego brata.

Choć go drażni swym ciałem, przedmówkami, nie udaje się to jej jednak, jak i nie udało się zbrodnia. Oiarę jej bowiem wyciągnął z wody stary rybak, wszystko widzący, wiedzący i czujący.

Czyn uszedł bezkarnie — choć „zbiesiałej” pannicy należy się zimny prysznic i różgi. To ostatnie zwłaszcza doprowadziłoby do roz-

sądku i trzeźwości.

Sztuka Ryłskiego „Głębia na Zimnej” bynajmniej nie pozbawiona głębokich myśli jest jednak ogromnie ciężka, i denerwująca, do czego może przyczynia się gra p. Wandy Bartłówny w roli Niki, tej właśnie antypatycznej pannicy.

Gra ta jest niemiła, denerwująca, nienaturalna i nużąca taka jednakowa stale, bez względu na sytuację i rozgrywane się wypadki. Cybulski wcale dobry, zupełnie poprawnie wywiązał się z niewdzięcznej i mało sympatycznej roli korepetytora. P. Miza Wieland i p. Stanisław Kowalski, (tworzący tę niedobraną parę), nie wysilają się zbytnia, a p. Maria Miedzińska w roli uwodzicielskiej nauczycielki więcej niż słaba.

Naprawdę gra, ale to jest wszystkim wiadome, jedynie Adwentowicza, gra mistrzowska, jak zawsze w każdej roli, w każdej sytuacji, tak że przy ocenie całości nie może być brana w rachubę, bo to oddzielna pozycja.

Natomiast dekoracje p. Stanisława Jarockiego są na poziomie całości sztuki.

Zastępca

S. p. Marian Zdziechowski

Akademia żałobna

Wielbiciele zasłużonego Rektora Un. St. Batoiego s. p. Mariana Zdziechowskiego, wielkiego myśliciela i znakomitego uczoności i pedagoga; będą mieli możność uczcić jego zasługi na Akademii żałobnej, organizowanej staraniem Zjednoczenia Polskich Pisarzy Katolickich we wtorek 25 października o godz. 20-iej w Sali odczytowej Domu Katolickiego Nowogrodzka 49

na II piętrze. Bilety wstępu w cenie 1 - zł. w pierwszych rzędach oraz 50 gr. w pozostałych do nabycia wcześniej w Sekretariacie A. Kat. Rok. Nr. 4 oraz w pokoju 27 od godz. 18 — 20 w poniedziałek, jak również przy wejściu na salę. Akademicy mają wstęp wolny za okazaniem zaświadczenia uczelni. Osobne zaproszenia wysyłane nie będą.

5-cio tysięczny wynalazek

Czarodziejski stolik — praktyczną rzeczywistością

Zamieszkały w dzielnicy N. Yorku, Brooklynie Ray Gross doznał właśnie swego, 5-cio tysięcznego wynalazku. Wynalazkiem tym jest samoczynnie zamykające się okno. Gdy tylko spadną pierwsze krople deszczu — na specjalnie spreparowany

papier, umieszczony na otwartym oknie — zamyka się ono automatycznie.

Wśród tysięcy jego wynalazków, znajduje się również prawdziwie czarodziejski stolik. Zawiera on następujące urządzenia: bar cocktailowy, bilard, biblioteczkę, łóżko do spania, lodownię, połączenie do zimnej i gorącej wody bieżącej, telefon oraz półkę na gazety i na kije bilardowe, czyli całe niemal urządzenie domowe.

Nie pozbawionym oryginalności jest również materac — budzik, który o oznaczonej godzinie nie tak silnie podrzuca śpiącego, iż ten co rychlej musi opuścić niegościnnie postanie.

Dla amatorów akwariów — wynalazek Gross automatyczny karmnik dla złotych rybek. O oznaczonej godzinie, wyspuje on do wody pokarm.

Rzecz oczywista, że Gross posiada już bardzo okazały majątek.

Nie wykorzystuje on swoich tak licznych wynalazków sam, tylko sprzedaje je fabrykantom i bierze poza tym pewien procent od sprzedaży.

Obecnie Gross pracuje nad wynalazkiem, który ma prześcignąć swą pomysłowością i praktycznością wszystkie inne.

OSTROŻNY



— Czy rzeczywiście czyta pan w myślach?
— Jak w otwartej książce.
— To proszę mi nie nie wzięć za złe tego co o panu pomyślałem.

DOROTHY BLACK

15)

PRZYGODA

Powieść

Przekład autoryzowany z angielskiego

Jednakże nie dała się zwątpieniu. Dotąd miała szczęście. Czuli, że wszystkie przeszkody, w miarę upływu czasu, same będą ustępowały.

Wspaniała kabina popsuła jej trochę humor. Różowe jedwabne firaneczki, różowa kołdra edredonowa, komoda z kosztownego drzewa, zielona alkowa z umywalnią z zielonego marmuru, odgrodzona od kabiny firankami z różowego jedwabiu.

Zdjęła kapelusz i przeczesała włosy, świecące nad czołem jak pierś ptaka. Przeglądając się w lustrze, zobaczyła swoją twarz na tle fałd kosztownego różowego jedwabiu. Od kilku godzin powinna być w sklepie, a ona tu na morzu, zaplątana w jakąś niewiarogodną przygodę. Na oko nikt z pewnością nie pozna, że ta skromna panna podjęła się spełnienia ważnej misji. Z powieści i filmu Sue wiedziała, że osoby, przewożące potajemne pilne wiadomości, są zawsze bardzo piękne i wspaniale ubrane.

Powiesiła z westchnieniem swoją jedyną toa-

letę, ową czarną koronkową sukienkę i wyszczerkowała starannie futrzany kołnierz przy tweedowym płaszczku. Ale mu to niewiele pomogło. Niewątpliwie pochodził z kociego rodu.

Zabrzączał dzwonek. Daleki głos krzyknął: Odprowadzający na brzeg! — Wołanie to obeszło cały statek. Narzuciwszy na siebie płaszcz Sue, wyszła na pokład. Drżała trochę z podniecenia; miała szaloną ochotę zbiec po wąskiej kładce, którą już zaczęto podnosić.

Dziwi! Dziwi! Zdaje się, że statek stoi w miejscu, a Liverpool ze swoimi wieżami, kopułami, urzędami portowymi, bulwarami i dokami zaczyna powoli odpływać na falach.

Na pokładzie tłoczących pasażerowie, machając rękami do zostających przyjaciół. Wśród pierwszych znajduje się tajemniczy YZ, który prawdopodobnie niespokojnie lustruje twarz, ciekaw, kto ma przy sobie obiecany mu dokument.

Wrzawa:

— Do widzenia! Do widzenia!...

Mewy, kołujące nad statkiem, podjęły wrzawę i zdawały się powtarzać smutnie słowa pożegnań. Do tej chwili Sue trzymała się dzięki podnieceniu. Teraz nagle zebrało jej się na płacz. Londyn, dział futrzany firmy Witherington, nawet Bill Martin — całe dotychczasowe życie wydało jej się niewiarogodnie drogie. Rzuciła wszystko jak wariatka i płynie nie wiadomo na jakie losy.

Te uwagi nasuwały się Sue jedne po drugich w nieprzyjemny sposób, w miarę, jak oddalała się panorama Liverpoolu. Niedługo będzie świetny

New Brighton, mającą góry Walii...

— Oszałamam... — myślała przerażona.

Ale klamka zapadła. O powrocie nie mogło być mowy. Nie ma rady, tylko uzbroid się w odwagę i robić swoje. Jakaś jednak była głupia, och! przeraźliwie głupia, wyobrażając sobie, że przygoda bawi. Joan miała słusność. Raz się coś zaczęło, to człowiek chciałby się cofnąć.

— Nieprawda! — potrząsnęła się z ponurych przeczuć. — Zatręknęłam za Londynem i to wszystko. Będzie dobrze. Będzie wspaniale.

Ledwie to sobie powiedziała, poczuła dreszcz niepokoju, od palców u nóg w górę, tak jak wtedy w restauracji. W pierwszej chwili nie wiedziała, co się dzieje.

Nagle złapała oddech i stanęła jak wryta.

Za balustradą, oddzielającą trzecią klasę, stał jeden z osobników w melonikach. Ten, który na pierwszy rzut oka wydawał się brudny i dopiero po chwili dostrzegano, że jest po prostu mocno śniady. Nie patrzył na nią. Gonił wzrokiem oddalające się brzegi Anglii z takim samym zalem, jak przed chwilą ona.

Odwróciła się i zbiegła na dół.

Pierwszy raz nasunęło jej się przypuszczenie, że wzięła na siebie misję nie tylko ciekawą, lecz i niebezpieczną. Wyjęła szaszetkę z zaszytym listem i obracała w rękach z odrzą, jak coś obrzydliwego. Zaczęła pojmywać, że do takiego przedsięwzięcia trzeba było człowieka z większym sprytem i odwagą niż ona. Padła na łóżko, zupełnie ścięta z nóg.

(D. c. n.).

W obronie kultury polskiej

Dużo mówiło się i pisało o niebezpieczeństwie najazdu żydów na literaturę polską, a jednak to jeszcze za mało. Dotąd nie lub prawie nie nie zrobiono w tej dziedzinie. Zwłaszcza tłumaczenia są niemal niepodzielnie objęte przez żydów.

W latach kryzysowych fiscus tak wyniszczył stare, zasłużone firmy wydawnicze, które dbały o

czystość i piękno mowy polskiej, iż „ośrodek dyspozycji” w tym ważnym dziale kultury, przeniósł się do firm jawnie lub zamaskowanie żydowskich. To też tłumaczenia stoją na poziomie wręcz niewiarogodnym! Żydziaki z kulturą ghetta, nie znając cborze języka, z którego tłumaczą, a tym bardziej polskiego, piszą jakimś plugawym, parszywym żargonem, w którym całkowicie zanika pięk-

no oryginału. A przecież przybawaj nam liczne szeregi nowych czytelników, którzy braki kultury, wyniesionej z domu, uzupełniają mają z tego zatrutego źródła!

Jeżeli nazwa firmy lub jej anonimowość do pewnego stopnia przestrzegają czytelnika — to nazwa „Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki” nasuwa przypuszczenie, iż spekulacyjne popędy wychowanków chederu nie mogą być jedynym regulatorem. Tymczasem w tej firmie popisuje się oślawiony żydziak, używający pseudonimu L. J. Wirski. Proszę przejrzeć (bo trudno wymagać „prze-czytania” książki w tak ohydny żargonie!) powieść Trygve Gul-branssen: „Om a lasy wiecznie śpią-wają”. W tomie, zawierającym 371 str., prawdopodobnie nie ma ani jednego zdania, zbudowanego prawidłowo po polsku — ot, wyrazy, ułożone bez sensu, bez znajomości składni polskiej, ani dbałości o prawidłowy szyk wyrazów: „Widocznie wchodziło tutaj w grę coś, co miało wspólne z ich od-rębnym stanowiskiem społecznym” (str. 45). „Jeszcze się ani razu nie odważył popatrzeć jej się dobrze” (str. 193). Łączne — co?

W chederze widać nie uczono, kiedy stosuje się biernik, a kiedy dopełniacz: „Czy nie można by spędzić święta na Borgland?” (str. 169). „Nie mogę przyjąć coś takiego” (str. 204). „...pamięta o pobycie” (str. 204). „...nie odoła nikomu to co czuje” (str. 267). „Czyż syn nie miał kiedyś wszystko po nim objąć” (str. 270).

Niedocieczoną tajemnicą dla p. Wirskiego są rodzaje „łóżko... stanął” (str. 100) — „mężczyzna „rozmyślała dalej” (str. 55) — kobieta „nie przeczełał” str. 169) i „oponował się” (str. 186); jeżeli chodzi o 2 męczyzn, to p. Wirski pisze „dwojga ludzi” (str. 147); Mowy obojga” (str. 247) — natomiast o mężczyźnie i kobiecie: „tych dwóch młodych ludzi” (227) i t. p.

P. Wirski nigdy nie może zgadnąć, kiedy mówi się „jego” a kiedy „niego”. Wdzięczność również brzmi „lubiła” — a już zupełnie czarujący jest klasyczny zwrot z ghetta: „Cóż powiecie do tego” (267). Co znaczy „len-nik” lub „siedząca w kalecie” — prawdopodobnie p. Wirski nie wie — i ja również.

Wydawanie takich wątpliwości jest niewątpliwie zbrodnią wobec kultury polskiej. Nazwisko p. L. J. Wirskiego, jak również firm wydających jego brednie, powinno być na czarnej liście.